

W willi nad morzem



STEFAN GRABIŃSKI

NA WZGÓRZU RÓŻ

W willi nad morzem

Kągle, miękko zwiewne obłoczki dymu wysnuwały się z wolna z kształtujących je ust, położyły w karbowanych falisto pierścieniach i roztopiały na lazurowym tle nieba. Cygara były wyborne; delikatnie zwinięte liście zarzyły się wonnie, ulatniając soczystą, szlachetnie ześrodkowaną treść. Paliliśmy powoli, zaciągając się z maestrią, jak znawcy. Znakomite miał hawana Ryszard Norski.

Przymknąłem senne nieco poobiedną porą oczy i z rozkoszą rzuciłem się wstecz w ramiona bujaka. Dobrze mi tu było i wygodnie.

Siedzieliśmy na marmurowym tarasie willi wysoko wzniesionej nad brzegiem morza. Stąd widziałem je jak na dłoni. Lśniący jak lustro, zdobny mozaiką taras, na którym stały nasze stoliki z czarną kawą, był na jednym poziomie z murem okalającym willę.

Morze drzemało. Dziewiczy szmaragd wełn¹ wydawał się ciemniejszy, jako zwarty w masie i nie podrywany wiatrem. Od czasu do czasu leniwy odruch roztoczy wspinał się pluszczącą pieszczotą na brzeżne załomy i splukawszy skały, powracał bezwładnie w łóżsko. Czasem skrzydłata flotyla barek, piórolekkich łodzi, wymknęła się z uwięzi portowej i powiewając koszenilową² banderą, sunęła chyżo po łagodnej fali. Czasem na horyzoncie przewiniął się smukły jacht spacerowy i szczezał w dali, wlokąc za sobą długi cylinder dymu...

I przystań zdrętwiała w skwarze południa. Ustała praca w dokach, zamilkły gwizdy świstawek, zwinęły skrzydła parowe albatrosy i cicho, opróżnione, stały na kotwicach.

Gdzieniedzie zabłąkał się na pokładzie ogorzały od wiatrów majtek i siadłszy na zwoju lin, nucił nieśmiertelną *Palomę*. — Gdzieniedzie przesunął się jak cień wśród czarnych kadłubów pilot portowy i uwiązawszy łódkę łańcuchem u brzegu, zniknął w czeluściach hali wchodowej...

Zresztą senność i spokój. Godzina popołudniowego wczasu³...

Cofnąłem rozmarzone słodkim lenistwem oczy z linii morza i zatrzymałem na najbliższym otoczeniu pod tarasem. Przesuwałem się z lubością po jedwabistych piersiach róż, ślizgałem lekko po kwiecistych gałązkach magnolii, pomarańcz, błądziłem w myśli rozkochaną dłonią po smukłej kibici⁴ tuj.

— Rozkosznie u ciebie, Ryszardzie. Mieszkasz jak król. Nie chce mi się stąd ruszać. Tu wszystko upaja, czaruje.

Uśmiechnął się zadowolony pod cienkim kruczym wąsem.

— Podoba ci się? To dobrze. Istotnie niezłe mieszkanko na lato.

Mówił powoli, podobnie jak ja znudzony upałem pory poobiednej.

Bawiłem⁵ u niego w gościnie od tygodnia, odwiedziwszy po wielu latach niewidzenia się. Ryszard Norski był mym dalekim kuzynem i kolegą szkolnym. Po ukończeniu liceum drogi nasze rozeszły się. Odnowiliśmy stosunki jako mężczyźni dojrzały. Ryszard był wtedy już wdowcem. Niedyś znałem go dość dobrze. Ambitny do szaleństwa, w przystępie zazdrości umiał być straszny. Pamiętam, gdy raz jeden z kolegów opisał wiosną pięknie od niego, wymierzył mu policzek i w wywiązanej stąd bitce ciężko go zranił.

¹wełny (daw.) — fale. [przypis edytorski]

²koszenilowy — czerwony (od nazwy barwnika). [przypis edytorski]

³wczas (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

⁴kibic (daw.) — talia. [przypis edytorski]

⁵bawić (daw.) — przebywać. [przypis edytorski]

Szczególnie wygórowaną była ambicja Ryszarda na punkcie sławy literackiej. Już na szkolnej ławie marzył o rozgłosie wielkiego pisarza. Czy uroszczenia jego miały jaką racjonalną podstawę, jako niekompetentny powiedzieć nie mogę. Podobno nie był bez talentu. Zresztą nie śledziłem postępów jego na tym polu, oddany mym zawodowym pracom. Tylko od czasu do czasu słyszałem od znajomych, że pisze i wydaje.

Potem ożenił się bogato i podobno szczęśliwie.

Pani Róża Norska należała w swoim czasie do piękności stolicy; o względy jej ubiegała się najświetniejsza młodzież w kraju. Posiadł ją Ryszard. Czy wyszła z miłości, nie wiadomo. Chodziły wersje o serdecznym stosunku, który miał ją łączyć przed małżeństwem z pewnym młodym poetą, podobno nawet przyjacielem Norskiego. Dlaczego oddała rękę innemu, po dziś dzień jest dla mnie zagadką. Może tamten był zbyt dumny, by pojąć za żonę bogatą Różę z Wrockich, może ona postanowiła o jego losie inaczej. Sprawy mi nie znane, już dawno zasnuła przeszłością. Mówią, że była kobietą ekscentryczną i rządziły nią chwile. Została żoną Ryszarda.

Znaczny majątek, który mu wniosła za sobą, pozwalał Norskiemu na życie wystawne, bez troski.

Podróżował dużo, jesienią i zimą spędzał stale na południu. Pani Róża, odumierając go, zostawiła mu w spadku synka Adasia i wielką fortunę.

Odnalazłem go po piętnastu latach mężczyzną w sile wieku, rosnącym i tego zbudowanym. Lubiałem go i z przyjemnością zajęczałem doń na czas dłuższy. Łączyło mnie z nim zamiłowanie do piękna i wytwornego trybu życia, przynęcało wcale⁶ wysokie pojęcie o jego inteligencji i poziomie umysłowym. Poza tym był kolegą lat młodych i dalekim kuzynem. Być może kazało mi zawitać w jego progi jeszcze i coś innego, czego określić nie umiem, jakaś siła przyciągająca nieświadomie z dali, szczególnie przypadek, nie wiem...

Przytknął do soczystych pąsowych warg czarkę z czarną kawą i wychyliwszy do połowy, wyjął ze srebrnego puzdra⁷ świeże cygaro.

— Gdzie podział się Adaś? — zapytałem, przypominając sobie chłopca, który przed chwilą jeszcze głośno swywoił dookoła gazonu⁸.

— Pewnie znowu koło altany.

I podniósłszy się z fotelu, zawołał dość ostro na syna.

W tej samej niemal chwili wypadł z bocznej ścieżki i stanął na stopniach tarasu szczy- Dziecko
pły, dziesięcioletni chłopczyk o jasnych, na ramiona spadających kędziorach. Czarne, smutne oczy dziecka z pewnym lękiem spoczęły na twarzy ojca.

— Gdzie byłeś!? Dlaczego kryjesz się ciągle po kątach?

— Byłem w altanie, tatusiu, czytałem książkę.

— Dlaczego tam wечно zaglądasz? Tyle ci już razy mówiłem, żebyś się bawił tu, na słońcu. Nieposłuszny jesteś, Adasiu.

Błądą, nerwową twarz chłopca omroczył cień żalu. Cicho pocałował ojca w rękę i odszedł w głąb domu...

— Właściwie nie rozumiem, dlaczego mu zabraniasz przebywać w altanie? — zapytałem po krótkim milczeniu. — Chłodnik⁹ jest bardzo przyjemny, zwłaszcza przy dzisiejszym upale.

— Boję się, czy właśnie tam nie będzie dlań za chłodno. W tym kącie pod murem jest utajona wilgoć. A on, jak ci wiadomo, dość wrażliwy na podobne rzeczy.

Mówił spieszenie, nie patrząc na mnie, widocznie niezadowolony z mej interwencji. Zauważywszy jego rozdrażnienie dałem pokój i zmieniłem temat. Zaczęliśmy rozprawiać o literaturze, o jej najnowszych prądach i wpływach zagranicy. Ryszard ożywił się i ze swadą wtajemniczał mnie w objawy literackie ostatniej doby, nie omieszkując wspomnieć i o sobie. W końcu zaproponował mi, czy bym nie zechciał posłuchać kilku jego utworów. Przystąpiłem z prawdziwą przyjemnością. Za chwilę wyniósł z pokoju wiązkę rękopisów i zaczął czytać.

Były wiersze. Wprawdzie znawcą nie jestem, lecz niegdyś czytałem dużo i odczuwam poezję dość silnie. Utwory Ryszarda zrobiły na mnie szczególne wrażenie. Forma była Poezja, Tajemnica

⁶wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

⁷puzdro — rodzaj pudła z szufladkami i przegródkami. [przypis edytorski]

⁸gazon — ozdobny trawnik z krzewami i kwiatami. [przypis edytorski]

⁹chłodnik (daw.) — altana. [przypis edytorski]

bez zarzutu. Wzorowe sekstyny toczyły się gładko, rytmicznie. Treść była przeważnie myślowa. Rzecz jednak szczególna: zdało mi się, że podobne wątki już gdzieś raz słyszałem.

Poematy Ryszarda wyglądały jakby ciąg dalszy, konsekwentne rozwinięcie motywów dawniej mi gdzieś znanych. Nie było to to samo, lecz jakby stylowe przedłużenie.

Tak, należałoby się spodziewać, tworzyć będzie ktoś, którego dawniej gdzieś czytałem. Lecz była między tymi dwoma ludźmi zasadnicza różnica: tamten, którego nazwiska nie mogłem sobie na razie przypomnieć, pisał sercem i stąd jego liryka refleksyjna wzruszała; utwory Ryszarda natomiast lśniły jak brylantowa klinga blaskiem zimnym, lodowo-skrzącym; wiało od nich wytwornym chłodem. To był całkiem inny człowiek. — Lecz kto był tamten drugi?

Chęć przypomnienia sobie była tak silną, że mimo woli przestałem słuchać z uwagą Ryszarda i wyteżyłem całą pamięć w poszukiwaniu zgubionego nazwiska. Nagle zablysło mi na mglistym ekranie przeszłości czerwonymi głoskami: Stanisław Prandota.

Tak! To on!

Wynurzenie się tego nazwiska z mroków zapomnienia wstrząsnęło mną do głębi, wodząc na myśl jego przedwczesną śmierć.

Prandotę poznałem niegdyś osobiście za pośrednictwem Ryszarda, z którym łączyły go rzekomo stosunki przyjazne. Subtelny, pełen wysokiej kultury umysł młodzieńca zadziwił mnie już wtedy i kazał rokować piękne nadzieje. Umiał przedziwnie pogodzić skłonność do refleksji filozoficznej z głęboką, serdeczną uczuciowością, która przeglądała z oczu przepojonych cichą melancholią.

Po raz ostatni widziałem go przed laty u Ryszarda w dzień mego rozstania z kuzynem. Potem nie spotkaliśmy się już więcej w życiu. Przed miesiącem miał zatonąć podczas burzy na „Jaskółce”, parowcu, którym odbywał podróż ku brzegom Południowej Ameryki. W liście pasażerów, pozostawionej przez kapitana statku w porcie, umieszczono na czele jego nazwisko. Wprawdzie, jak donosiły później dzienniki, parę osób nie zgłosiło się w porę na pokład odjeżdżającej „Jaskółki”, lecz nazwisk nie podano. W każdym razie od tam nikt nigdzie Prandoty nie widział. Bardzo tedy prawdopodobnym, prawie pewnym było przypuszczenie, że zginął na morzu podczas nawałnicy. Tak też zgodnie powtarzały wszystkie pisma.

Zginął młodo, wzbudzając powszechny żal u tych, co umieli ocenić tkwiące w jego początkowych utworach zarodki pierwszorzędного talentu.

Sam nie wiem, jak się stało, że o tym tragicznym zgonie dotąd z Ryszardem nie zamieniłem ani słowa. A przecież od niego powinienem był usłyszeć niejedno o Prandocie, zwłaszcza że wsiadał na statek właśnie w tutejszym porcie za bytności Norskiego.

Korzystając tedy z krótkiej przerwy w czytaniu, zwróciłem się do Ryszarda z pytaniem:

— Kiedy widziałeś się z Prandotą po raz ostatni? Czy nie wkrótce przed katastrofą? Podobno odbijał od tutejszego brzegu?

Norski oderwał gwałtownie oczy od rękopisu i wlepił je we mnie ze szczególnym wyrazem. Pytanie widocznie zaskoczyło go zniecacka i w pierwszej chwili nie zrozumiał, skąd się wzięło. Lecz niebawem znać¹⁰ zorientował się i wtedy na moment pojawiły się na tej marmurowej twarzy jakieś dziwne, zagadkowe błyski. Co miały oznaczać te dziwne linie sfałdowanych nagle mięśni, jakie należało im podłożyć odpowiedniki uczuciowe — trudno mi było określić. Lecz trwało to tylko przez nieuchwytnie małą chwilę; olbrzymim wysiłkiem woli opanował się i wrócił do zwykłej nieprzeniknioności. — Przyblił tylko nieco i smutno odparł:

— Tak. Domysł twój trafny. Istotnie, odwiedził mnie przed odjazdem. Nawet...

Przerwał, jakby namyślając się, czy należy dokończyć w zaczętych sensie. — Lecz wkrótce wahanie ustąpiło i niemal wyzywająco odpowiedział:

— Nawet, nie uwierzysz... wpadł tutaj na godzinę przed wstąpieniem na statek. Zjedliśmy obaj lekki obiad, po czym odprowadziłem go do portu. Biedny chłopak! Tak mu było do twarzy w małym szafirowym kepi¹¹, które włożył fantazyjnie do podróży.

Ostatnie słowa brzmiały trochę dziwnie. Chyba piękne kepi nie stanowiło naczelną ozdobę Prandoty. Toteż nie mogłem wstrzymać się od podkreślenia tego, o co chodziło.

¹⁰znać (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

¹¹kepi — rodzaj sztywnej czapki o prostokątnym daszku. [przypis edytorski]

— Strata niepowetowana. Jestem najgłębiej przekonany, że w tym jasnookim, do-
brym dziecku pewnego dnia objawiły się pierwszorzędny liryk. Co za serdeczność, co
za przepastność uczucia!

W oczach Ryszarda tlały jakieś żółte światła.

Gdy spostrzegł, że mu się przypatruję, przymknął lekko powieki i wypuszczając gęsty
kłąb dymu, wycedził spokojnie:

— Być może. Zdaje mi się jednak, że przesadzasz. Chociaż był moim druhem od
serca, nigdy zbyt wysoko nie stawiałem jego talentu. Był trochę za sentymentalny. Czy
nie miałbyś ochoty przejść się trochę przed zachodem po plaży? Pora przecudna. Do
kolacji mamy jeszcze sporo czasu.

Dokończył cygara i strząsnąwszy resztki popiołu, rzucił niedogarek¹² do perłowego
wnętrza muszli.

Przykro dotknięty, udałem przecież, że wszystko w porządku, i z wyszukaną ochotą
podniosłem się z nim do wyjścia.

Gdy wróciliśmy pod wieczór do domu, był w najlepszym humorze i podczas wie-
czerzy nieustannie żartował z Adasia. A jednak zauważyłem, że od czasu do czasu cień
przelotny przesunął się po jego pięknej, męskiej twarzy i parę razy pochwyciłem wzrok,
spoczywający na mnie ze szczególną uwagą.

Od owego popołudnia minęło parę tygodni.

Na pozór nic się nie zmieniło w moim stosunku do Ryszarda, z którym jak dawniej
prowadziłem długie rozmowy, odbywałem wspólne przechadzki i przejażdżki po morzu.
A jednak czuliśmy obaj, że coś zaszło, że jakiś cień padł klinem pomiędzy nas i rozdziela
coraz silniej. Czując to, właściwie należało mi pożegnać go i opuścić willę. Jeżeli tego
nie uczyniłem, to chyba dzięki specjalnemu zwarciu się z tym człowiekiem, który od
dłuższego czasu był dla mnie zagadką trudną do rozwiązania.

I jemu widocznie ciążyła moja obecność we willi, lubo¹³ usilnie starał się zamasko-
wać wszelki ślad niechęci. A jednak widziałem to dobrze z wyrazu twarzy, rzutów oczu,
z rozmów prowadzonych w sposób wymuszony i ostrożny. — W ogóle Norcki sposepniał
i zmienił się w tych ostatnich czasach bardzo. Często się zamyślał nad czymś głęboko, na
pytania odpowiadał niechętnie, unikał stale pewnych tematów; i tak od pamiętnego dnia
nie mówiliśmy ani razu o śp. Prandocie. Podobnie nie poruszyliśmy odtąd zgoła kwe-
stii literackich; gdy przypadkiem zwracałem konwersację na zmierzające ku temu tory,
zręcznie przechodził do rzeczy luźnie tylko z literaturą związanych, po czym oddalał się
skwapliwie¹⁴ coraz to bardziej od drażliwego punktu.

Zresztą banalność naszych dialogów wetowała¹⁵ mi wspaniała biblioteka gospodarza,
która w każdej porze stała przede mną otworem. Toteż całymi godzinami, zwłaszcza rano,
zatapiałem się w lekturę.

Jednak rzecz dziwna: wśród poetów doby ostatniej, reprezentowanych tutaj wcale
pokaźnie, nie mogłem znaleźć ani jednego tomiku Prandoty. Mimo to, nie chcąc roz-
drażniać Ryszarda, nie zwróciłem na to uwagi.

Wśród tego począłem ulegać jakimś specjalnym zmianom, z których zrazu sam sobie
sprawy nie zdawałem, gdyś przejawiały się w sposób raczej zewnętrzny. Ryszard, przeciwnie,
zauważył, że coś się ze mną dzieje, i to, rzecz szczególna, z pewnym niezadowoleniem,
a nawet obawą.

Widocznie coś go we mnie uderzyło. Parę razy bacznie śledził mą gestykulację dość
ożywioną podczas roztrząsania zajmującego tematu i wtedy ujrzałem na jego twarzy wy-
raz zdumienia, połączony z odcieniem niepokoju. Na razie jednak nie zrobił mi pod tym
względem żadnej uwagi. Powodowany ciekawością, postanowiłem go koniecznie o to
zagadnąć.

Niebawem nadarzyła się dogodna sposobność.

¹²niedogarek — niedopalek. [przypis edytorski]

¹³lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

¹⁴skwapliwie (daw.) — szybko i/lub chętnie. [przypis edytorski]

¹⁵wetować (daw.) — rekompensować. [przypis edytorski]

Było rano, po śniadaniu. Obaj w lekkich domowych strojach siedzieliśmy na werandzie. Ryszard czytał jakąś książkę, gdy ja spoglądałem na morze, trochę w tej chwili niespokojne. Naraz¹⁶ zwróciły mą uwagę szybujące tam i na powrót mewy. Oto niespodzianie wyodrębniła się jedna gromada i ukształtowała w szerokie białe koło, przez które pozostałe poczęły przefruwać długim łańcuchem. Widok był tak niezwykły, że przerywając Norskiemu czytanie, wskazałem ręką niebo.

Ten wprawdzie spojrział w tę stronę, lecz mimo woli rzucił równocześnie okiem na mnie i dziwnie zmienionym głosem zapytał:

— Co ty robisz?

Na razie nie zrozumiałem go. Istotnie nie robiłem nic nadzwyczajnego. Podniosłem się tylko lekko na palcach i wyciągnąłem ręką w dal.

— Jak to co? Wskazuję na mewy.

— No tak, tak, zapewne. Ale czynisz to w taki sposób, że miałbym ochotę powiedzieć, iż gest ten jest ci obcy.

— Czy zauważyłeś coś podobnego u mnie dopiero dziś po raz pierwszy?

Norski zwłóczył z odpowiedzią. Wreszcie rzekł niby obojętnie:

— Przyznam ci się, że rzeczywiście już od dłuższego czasu dostrzegam dziwną zmianę w twych ruchach. Mam wrażenie, że gesty, które wykonujesz, to nie te dawne, twoje, do jakich przywykłem, lecz jakieś obce, skądś przejęte; jak gdyby ktoś drugi kierował nimi, usadowiwszy się w twym wnętrzu. Wyglądasz na aktora, który genialnie wżył się w cudzą mimikę.

— Rzecz szczególna.

I mimowolnie obróciłem się ku lustru i przypatrywałem się sobie uważnie.

— Jeśli się jednak istotnie nie mylisz, bądź pewny, że robię to bezwiednie, odruchowo.

— A jednak jakaś przyczyna być musi...

Norski badawczo patrzył mi w oczy.

— Nie ulega wątpliwości. Prawdę mówiąc, zjawisko zaobserwowane przez ciebie na mojej osobie, które nazwałbym „ksenomimią¹⁷”, nie jest mi obcym. Śledziłem je u paru osób na klinice w obserwatorium psychologicznym. Można tu w ogóle postawić dwie hipotezy. Ksenomimia może wypływać z prostego zapatrzenia się na drugiego, jako na wzór, i w tej formie występuje bardzo często u dzieci, gdy zmysł naśladownictwa jest tak silnie rozwinięty, że ruchy nabyte tą drogą utrwalają się w późniejszym życiu. Oczywiście w naszym wypadku nie ma o tym mowy. Zmienione ruchy moje, o ileś mógł zauważyć, nie naśladują ni ciebie, ni Adasia, a zresztą z nikim tutaj od czasu, jak przybyłem, nie pozostają w koniecznej do tego bliskiej styczności.

— Tak, to jasne. Rzeczywiście to nie są ruchy ani moje, ani małego. Przez ciebie przemawia ktoś inny.

— Pozostaje więc druga ewentualność.

— Mianowicie?

Ryszard okazywał wysokie zaciekawienie.

— Najprawdopodobniej wchodzi tu w grę podświadome działanie telepatii.

— Jak to rozumiesz? Czyżbyś przypuszczał, że ktoś wpływa na ciebie w ten sposób, że każe ci wykonywać ruchy należące do osoby trzeciej lub nawet do samego nadawcy? A może są to gesty przezeń tylko pomyślane, czysto imaginacyjne?

— Niezupełnie, lubo jesteś bliskim mej hipotezy. Zasadnicza różnica między nami polega na tym, że ty puszczasz działanie wprost świadome, przedsięwzięte w pewnym celu, gdy ja, przeciwnie, sądzę, iż mamy tu do czynienia z wpływem najzupełniej nieświadomym. Co więcej, jestem głęboko przekonany, że mój nadawca zaprzestałby chętnie swych bezwiednych eksperymentów, gdyby wiedział, jakie mogą pociągnąć za sobą następstwa.

— Wybacz, lecz nie rozumiem. Jak to? Przecież sądzę, że przy telepatii koniecznym jest świadome siebie i określone pod względem kierunku wyrażenie woli czy myśli. — Nadający musi wiedzieć, na kogo działa.

— Niekoniecznie.

¹⁶naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

¹⁷ksenonimia (gr.) — nieświadome naśladowanie gestów i uchowań osoby, o której intensywnie się myśli. [przypis edytorski]

— W takim razie może przejąć depeszę ktokolwiek.

— Stanowczo nie. Nie ulega bowiem wątpliwości, że między obu stronami wytwarza się uprzednio stosunek bliższy uwarunkowany obcowaniem, uczuciami, wspólnością myśli, przeżyć. Stąd to nic dziwnego, że niejednokrotnie, bo już przedtem, utorował sobie drogę podatną do przeprowadzenia operacji.

— Jak więc wyobrazasz sobie działanie telepatii w naszym wzglądzie w twoim wypadku?

— Bardzo prosto. Oto pewne indywiduum myśli o kimś od dłuższego czasu w sposób niezmiernie intensywny; ów ktoś wypełnia niemal zupełnie jego widnokrąg myślowy, wżerając się niepodzielnie w jego duchową dziedzinę. Rozważa się głęboko jego mowę, ruchy, fizjognomię¹⁸, słowem, całą istotę, pozwala się opętać całą jaźnią. — Przypuśćmy teraz, że ową osobę, która tak wszechwładnie opanowała danego osobnika, zna jeszcze ktoś drugi — ktoś pozostający z opętanym w bliskich stosunkach — a staniemy tuż przed progiem tajemniczej dziedziny telepatii. Opętanie myślowe zacznie się z wolna, bez świadomego przyczynienia się nadawcy, przenosić na drugiego osobnika i uzewnętrzniać, np. w naśladowaniu gestów zamyślonego indywiduum.

Przestałem na chwilę, trochę znużony wysiłkiem porządkowania mych wywodów, i spojrzałem na Norskiego.

Widocznie słowa moje podziałały nań silnie, bo oparł zachmurzone nagle czoło na dłoni i utkwiał zamyślony wzrok w ziemię. Po chwili wahania zapytał niepewnie:

— Lecz owo przejęcie się obcą jaźnią musi mieć w takim razie silne zabarwienie uczuciowe? Inaczej nie da się wytłumaczyć ta jego intensywność.

— Zapewne. Telepatia działa najsprawniej tam, gdzie wchodzi w grę uczucie.

— Czy masz na myśli miłość?

— Niekoniecznie. Sądzę, że potężne wywierać musi skutki też uczucie strachu lub grozy związane z zamyśloną jaźnią. Tak np., przypuszczam, mogą działać telepatycznie niektórzy zbrodniarze. Myśli ich, krążące ustawicznie koło nieszczęsnej ofiary, działają prawdopodobnie jak mocne, jadowite wyziewy i przepajają sobą otoczenie, kłębiąc się w dzikich jak węzowisko skrętach. — Okropne są myśli zbrodniarzy! W ten sposób zdarzyć się może, że morderca, wpływając telepatycznie na innych, pewnego dnia ujrzy w ich ruchach ofiarę rąk własnych.

Ryszard trupio błady wpatrywał się we mnie błędnym wzrokiem.

— To byłaby straszna zemsta, piekielna zemsta!...

— Tak, tak... Dobrześ to określił. To by była zemsta umarłych... bez ich osobistego wdawania się. Istotnie, mocne być muszą myśli opętanych i działają potężnie. I tu w całej grozie odsłaniają się otchłanie natury, świadczące w znakach niesamowitych, jak okropną jest dusza człowieka.

Gdy domawiałem tych słów, Norski szybko podszedł ku oknu werandy i silnie pchnął je na ogród. Z zewnątrz wpadł słony wyziew morza zmieszany z wonią kwiatów i orzeźwił nam czoła.

— Trochę tutaj duszno — zauważył. — Może zejdziemy między klomby.

— Owszem.

Zeszliśmy.

Ranek był parny, pochmurny. Szary blask rozlewał się po świecie i nadawał wszystkiemu nijaki wyraz obojętności.

Było nam ciężko. Kroki nasze dźwigały się powoli, ospale, zapuszczając się w kręte aleje eukaliptusów, okrążając dziwacznie powyginane desenie grządek z kwiatami.

Parę razy przejechał obok nas Adaś z swymi ulubionymi taczkami, w których woził dla zabawy ziemię i piasek po szerokich ścieżkach ogrodu. Zauważyłem pewną regularność w tych wędrówkach. Rozpoczynał jazdę od pagórka, gdzie za pomocą łopatkę kopał ziemię i ładował na taczki, przejeżdżał popod domek i znikał z ciężarem między krzakami bzu, na przeciwnym krańcu ogrodu, w którym wznosiła się altanka. Widocznie tam wysypywał ziemię, bo wkrótce zjawiał się z próżnymi taczkami i rozpoczynał ekspedycję powtórnie. Zabawa zajmowała go bardzo, bo prawie nas nie zaczepiał, pilnie zajęty pracą. Spostrzegłem jednak, jak od czasu do czasu śledził ruchy ojca, który zakazał

¹⁸fizjognomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

mu przebywać w altanie; dopókiśmy go mieli przed sobą na oku, kluczył po ścieżkach, zaledwo jednak obróciliśmy się doń plecyma, zbaczal w zakazanym kierunku i szybko wytrząsnąwszy zawartość taczek, wracał pomiędzy klomby.

Dziwny chłopak — pomyślałem. — Jakiś duch przekory ciągnie go do tego kąta.

Lecz nie zwróciłem na to uwagi zdenerwowanego ojca. Ten tymczasem, zajęty w dalszym ciągu poruszoną dopiero co kwestią, chciał ją doprowadzić do względnie określonego końca.

Trochę chwiejnie, siłąc się na spokojną obojętność, zauważył:

— Pozostałoby do rozstrzygnięcia zagadnienie: Kto na ciebie działa?

— Sądzę, że raczej należałoby stwierdzić tożsamość ruchów, jeżeli tylko nie są wytworem fantazji nadającego. Łatwiej będzie mi odgadnąć, kto na mnie działa, gdy odpowiem na pytanie: Czyje gesty naśladuję?... Czy nie mógłbyś mi w tym przyjść z pomocą? Sprawa, o ile zauważyłem, dość cię zajęła. Czy obecne ruchy moje nie przypominają ci kogoś znajomego?

Norski znać nie przeczuwał, że kwestia weźmie taki obrót. Pytanie stropiło¹⁹ go. Toteż dopiero po chwili odpowiedział, nie patrząc na mnie:

— Niestety, ja ci się tu na nic nie przydam. Ta gestykulacja jest mi zupełnie obca; nie widziałem jej u nikogo.

— W takim razie musisz zrezygnować z upragnionej odpowiedzi na zadane przedtem pytanie. Nie dowiesz się, komu podobało się wybrać mnie za narzędzie swych dalekonosnych doświadczeń.

Mówiłem tonem umyślnie żartobliwym, by go nie zaniepokoić, i wkrótce zeszedłem na temat obojętny. On też uznał za stosowne zmienić rozmowę i zaczął o czym innym.

A jednak jeszcze tegoż dnia dowiedziałem się, do kogo należały ruchy, którymi tak dziwnie przesiąknął.

Stało się wieczorem, wkrótce po zachodzie słońca. Jak zwykle po kawie zaproponował Ryszard przechadzkę nad morze. Przystałem chętnie i podczas gdy on już gotów do wyjścia czekał na mnie na stopniach terasu, ja zaszedłem jeszcze do pokoju po zarzutkę, bo wieczór zapowiadał się chłodny. Po chwili wróciłem i włożywszy dość fantazyjnie kapelusz na głowę, stanąłem w drzwiach wchodowych²⁰, naciągając rękawiczki. Norski na razie mnie nie widział, odwrócony twarzą ku morzu. Tak minęło w milczeniu chwil kilka.

Wtem on, widocznie zniecierpliwiony czekaniem, odwrócił się, podniósł wzrok w stronę, gdzie stałem, i nagle, jak przed widmem, zasłaniając się rękoma, pochylił się tak silnie wstecz, że omal nie stoczył się ze schodów.

— Ryszardzie! Co tobie? To ja!

Podbiegiem i w samą porę chwyciłem go pod ramię. Uspokoił się, nie spuszczając ze mnie błędnych piekielnym przerażeniem oczu, jakby nie dowierzał dźwiękowi mego głosu.

— Tak, to ty, prawda. Co za przekłete przywidzenie. Lecz ten ruch, ten twój nie-szczęśny ruch i sposób założenia kapelusza tak mi żywo przypomniał...

— Kogo? — podchwyciłem z zapartym tchem.

— Prandotę — wyjąkał, jakby przerażony równocześnie brzmieniem tego nazwiska, które od paru tygodni wyszło poza obręb naszych rozmów.

I poszliśmy na plażę.

*

Nazajutrz miałem wyjechać. Pobyt mój u Norskiego był dlań widocznie z dniem każdym wzrastającą katuszą. Toteż gdy mu oświadczyłem swój zamiar, zagrał w jego oczach błysk nagłej radości. Odetchnął. I ja opuszczałem willę z ulgą w sercu. Było mi tu już od dłuższego czasu za duszno; atmosfera zionęła ukrytym jadem. Każda godzina spędzona z Ryszardem działała na mnie jakoś niepokojąco i oddalała coraz bardziej od tego dziwnego człowieka.

¹⁹stropić (daw.) — wprawić w zakłopotanie. [przypis edytorski]

²⁰wchodowy — dziś popr.: wejściowy. [przypis edytorski]

I on zmienił się bardzo. Pobladł, wyżółkł i zestarzał się o lat kilkanaście. Tych parę miesięcy spędzonych razem przekształciło tego energicznego, twardego jak stal mężczyznę do niepoznania. Jeżeli mimo to nie rozstał się ze mną wcześniej, to zrobił to, sądząc, chyba z jakiejś okropnej w swym tragizmie ciekawości rzeczy, które go miały zdruzgotać, połączonej z duchem wewnętrznej przekory; jakby chciał stoczyć ze mną rodzaj pojedynku bez wyzwania, bez słów. Jego dumny, męski charakter spostrzegłszy, że pod pewnym względem mogę być dlań groźnym, postanowił stawić czoło i wytrwać do końca.

A przecież musiał ustąpić i ze źle tajoną radością oczekiwał mego rychłego wyjazdu. Bo gra była ponad ludzkie siły, bo wmieszały się pierwiastki niewspółmierne, nieuchwytnie w swej naturze i stąd nieobliczalne. Więc przerażony zaczął się cofać.

Żegnał mnie w sposób wytworny, pełen elegancji i dobrego smaku. Już to zawsze był esteta i gentlemanem.

Pożegnalny obiad był wspaniały. Stół formalnie ugiął się od ciast, pulardów²¹, sorbetów, mięsów. Zastawa stylowa zdradzała wyszukany smak i głęboką kulturę piękna. Miałem wrażenie, że cała dzisiejsza sztuka stosowana znalazła przy tym kwiatami ubranym stole swój pełny, oszołomiający bogactwem i oryginalnością wyraz.

Dla mnie *clou*²² uczytu stanowił pewien rodzaj minogów, za którym przepadałem. Szczególnym trafem dotąd nigdy ich u Norskiego nie jadłem, chociaż i on niegdyś był ich zapalonym amatorem. Toteż przed odjazdem chciałem koniecznie uraczyć się tym wybornym mięsem, zwłaszcza że nadarzała się po temu sposobność. Właśnie bowiem przyszedł do portu świeży transport i w mieście literalnie je sobie rozchwytywano. Nic nie mówiąc Ryszardowi, kupiłem parę sztuk i poleciłem przyrządzić w kuchni w przekonaniu, że sprawię mu tym miłą niespodziankę. Lecz jakież było me zdumienie, gdy Norski spostrzegłszy na półmisku moją ulubioną potrawę, zwrócił się do służącego z zapytaniem, kto kazał ją podać. Wyjaśniłem sprawę natychmiast, przepraszając za samowolne wdzieranie się w zakres praw gospodarza.

— O ile sobie przypominam, i ty byłeś zwolennikiem minogów?

— Tak, tak... to prawda. Lecz od pewnego czasu dzięki jakiejś idiosynkrazji²³ nie mogę znieść ich widoku. Ale proszę cię bardzo, nie przeszkadzaj sobie. Należało tylko zwrócić mi uwagę na to, co lubisz, sam byłbym wydał odpowiednie instrukcje. Co do mnie, pozostają przy moich homarach.

I zręcznie chwycił swą białą, kobiecą ręką szczypce okazałego kraba.

Trochę zmieszany zabrałem się do minogów. Były przyprawione świetnie, pełne kochanej podniety.

Na chwilę zapanowało milczenie.

Niebawem Ryszard skończył, popił perlistą maderą²⁴ i otarłszy usta, zapalił papierosa.

Zajęty zdzieraniem z ryby delikatnego naskórka, czułem na sobie jego mocny wzrok: obserwował mnie. Nie podnosząc oczu, włożyłem świeży kawałek do ust i w tej chwili blednąc, oddałem go z powrotem na talerz.

— Co tobie?! Niedobrze?

Ryszard stał tuż przy mnie i podawał kieliszek z winem.

— Popij!

— Dziękuję. Wiesz, miałem w tej chwili szczególną sensację: zdawało mi się, że ryba jest zatruta.

Norski wbił mi paznokcie w ramię, aż syknąłem z bólu.

— Oszalałeś?! — zapytał cały wzburzony.

— Ależ rozumiem wybornie, że to tylko proste wrażenie i nic więcej; takie sensacje przychodzą czasem ni stąd, ni zowąd. Zresztą minogi były doskonałe, brałem już drugą porcję. Był to moment tylko. Jestem gotów jeść dalej.

— Nie! Ja nie pozwolę. Lecz by cię upewnić, sam spróbuję.

I wzięwszy z półmiska drugą połowę, począł jeść. Zawstydzony usiłowałem protestować:

— Ależ ja ci wierzę, Ryszardzie. Nie bądźże dzieckiem.

²¹pularda — utuczona kura. [przypis edytorski]

²²clou (z fr.) — najważniejsze bądź najciekawsze zdarzenie. [przypis edytorski]

²³idiosynkrazja — wstręt, niechęć do czegoś. [przypis edytorski]

²⁴madera — rodzaj mocnego wina z Portugalii. [przypis edytorski]

Lecz Norski spożył rybę do końca, po czym ponownie zapaliwszy drżącą ręką papierosa, przeprosił mnie i odszedł do sypialni.

— Wybacz — rzucił na pożegnanie — jestem trochę zdenerwowany. Przeraziłeś mnie. Adasiu, zostaniesz tymczasem z panem.

Istotnie wyglądał bardzo blady.

Zostałem sam z dzieckiem.

W jadalni było parno. Wyziewy potraw zmieszane z odurzającą wonią kwiatów wytworzyły atmosferę ciężką i nużącą. Wziąłem za rękę Adasia i przeszliśmy do biblioteki.

Chcąc chwil parę pozostać w samotnym skupieniu i uporządkować cisnące się gwałtem myśli, wydobyłem z górnej półki kilka ilustrowanych książek i dałem je do oglądania chłopcu. Jakoż niebawem zajął się nimi najzupełniej. Usiadłem na sofce, naprzeciw drzwi wchodowych, i zamyśliłem się: poddawałem baczemu rozbiorowi ową sensację pod koniec obiadu.

Że była to rzeczywiście tylko sensacja, nie wątpiłem ani chwili. Kawalek ryby, który miałem w ustach, pod względem smaku nie różnił się niczym od poprzednich, które spożyłem przecież z największym apetytem.

Więc chyba autosugestia. Lecz ani mi wtedy przez myśl nie przeszło wyobrażenie trucizny, nie pozostawało nic innego, jak przyjąć poddanie mi podobnej myśli przez Ryszarda. Tu przypomniał mi się instynktem wyczuty w tym momencie wzrok jego, który spoczywał na mnie. Może wtedy myślał o truciznie? Kto wie, może między nią a minogami istniał pewien związek? To by tłumaczyło wstręt niespodziewany do ulubionej niegdyś ryby. Może kiedyś w życiu był świadkiem podobnego zdarzenia, które mu głęboko utkwilo w pamięci?...

Zmęczony, podniosłem z zadumy czoło i spotkałem się z czarnymi jak aksamit oczyma dziecka.

Był zupełnie podobny do matki, którą znałem tylko z portretu zawieszzonego w salonie. Szczególnie fascynująco musiały działać jej duże, czarne oczy, pełne niewysłowionej słodyczy i głębi wyrazu. Podobnie w kraju, zanim wyszła za mąż, budziła wszędzie podziw i zazdrość, była przedmiotem pragnień wielu i powodem kilku gorących afer. Mówiono nawet, że ową tajemniczą nieznajomą, której wdzięki opiewał tak wytwornie w swych sonetach Stanisław Prandota, nie był nikt inny, tylko Róża z Wrockich, Adaś miał te same namiętnie palące oczy i białą jak alabaster cerę twarzy, tak bardzo podnoszącą ich wyraz.

Był to chłopak nad wiek rozwinięty, wrażliwy i nerwowy. Lubiał zadawać czasem pytania dziwaczne, rozmawiać o rzeczach przykrych, dziwnie nie harmonizujących z pogodą lat dziecięcych. I teraz miał w twarzy taki wyraz, jakby mi się chciał zwierzyć z czymś ważnym. Ośmieliłem go, przyciągając łagodnie ku sobie.

Siadł mi na kolana i z miną tajemniczą wydobył z bocznej kieszonki jakiś drobny, świecący przedmiot. Chcąc mnie snadź²⁵ zaciekawić, trzymał go w zamkniętej dłoni i patrzył na mnie w zagadkowy sposób.

— No pokaż! Cóż to takiego?

Chłopak ociągał się:

— Pokażę, jeśli pan da słowo, że nie powie nic tatusiowi.

Zapewniłem uroczyście. Wtedy otworzył rękę i na dłoni ujrzałem mały, złoty medalion. Odchyliłem emaliowane wieczko i ujrzałem subtelnie wykonaną miniaturę pani Róży.

— To od mamy?

Chłopak poruszył przecząco głową.

— Więc od kogo?

— Proszę zgadnąć.

— Nie potrafię.

— Od pana Stacha.

Pocisnął sprężynkę; miniatura odchyliła się i pod nią przeczytałem wyryte na złotym tle słowa: „Synkowi Róży — Stach”.

²⁵snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

Opanowało mnie dziwne uczucie. Tajemnica Adasia wstrząsnęła mną do głębi, wywołując błyski niespodzianych myśli.

Prandota kochał żonę Norskiego. Może Adaś...

Wstrzymałem bieg myśli szalonej i zwróciłem się do chłopca:

— Kiedy dał ci to pan Stach?

— Dzień przed odjazdem. Pocałował mnie w czoło i kazał nosić na piersiach. Był wtedy tak smutny, tak bardzo smutny. Jutro miał wyjechać. Nawet nie mogłem się z nim pożegnać.

— Dlaczego?

— Nazajutrz rano, zanim do nas przyszedł na pożegnanie, zabrał mnie z sobą pan guwerner i pojechaliśmy na cały dzień na wieś. Gdyśmy wieczorem wrócili, pana Stacha już w domu nie było... Biedny pan Stach...

— Dlaczego? Przecież go kiedyś zobaczysz.

Udawałem, że nic nie wiem o zgonie Prandoty, wiedząc na pewno, że ani ojciec, ani żaden z domowników nic o tym chłopcu nie wspominał.

Lecz dziecko potrząsnęło smutno głową:

— Pan Stach już więcej nie wróci.

— Kto ci to powiedział?

— I mamusia już nie wróci.

To szczególne zestawienie upewniło mnie, że Adaś dziwnym, niektórym nerwowym dzieciom właściwym instynktem odgadł śmierć ukochanego człowieka. — Więc zamilkłem. Lecz on miał mi widocznie jeszcze coś ważniejszego do zwierzenia, bo ująwszy mą rękę, pociągnął mnie w ogród.

— Coś panu jeszcze pokażę.

Prowadził w odległy kąt, dokąd zaglądałem rzadko, ze względu na Ryszarda, który unikał tej partii. Właśnie w tę stronę wiódł mnie, niecierpliwie szarpiąc za rękę. Przeszedłszy szpaler tuj, stanęliśmy przed altaną.

Myślałem, że tajemniczy chłopak każe mi wejść do środka, lecz omyliłem się. Nie wypuszczając ani na chwilę mej ręki z dłoni, pociągnął mnie za altanę.

To, co ujrzałem wtedy, wyrzyło się w mej duszy na zawsze ponurym obrazem.

W wąskim przesmyku, między tylną ścianą altany a murem ogrodowym, ujrzałem świeżo usypany nieudolną dłonią grób z małym, z gałązek złożonym krzyżykiem w środku.

Patrzyłem oszołomiony przykrym widokiem na Adasia z niemym pytaniem.

— Czy dobrze usypałem?

— Więc to ty? Kiedy? Po co?

— Wczoraj i przedwczoraj, kiedy tatuś wychodził z domu, zrobiłem; ziemię miałem zwiezioną już dawniej taczkami. To dla pana Stacha. Mamusia ma już na cmentarzu.

Dreszcz zgrozy przebiegł mnie od stóp do głowy.

— Dlaczego właśnie tutaj?

— Tatuś kazał.

— Tatuś?!

— Tak, w nocy, we śnie, wiele dni temu. Śniło mi się, że przyszedł do mego łóżka, wziął za rękę i zaprowadził tutaj. Potem usiadł w altanie na ławce, dał mi moją łopatkę i kazał sypać z tej strony grób dla pana Stacha. Płakałem, wrywałem się, lecz tatuś krzyczał i musiałem usłuchać. Przez cały czas siedział tu na ławce i patrzył, jak kopię ziemię. Gdy usypałem do końca, przebudziłem się. Było rano, leżałem w łóżku. Odtąd pędziło mnie tutaj i nie dało spokoju, aż zrobiłem tak, jak tatuś kazał we śnie.

— Czy ojciec wie o tym? Czy pokazywałeś mu?

— Nie. Boję się okropnie, by nie spostrzegł.

W tej chwili usłyszeliśmy za sobą lekkie szelest. Odwróciłem się mimo woli i krzyknąłem.

Za nami, ciężko oparty o róg chłodnika, stał blady jak płótno, dziko uśmiechnięty Norski... Widział i słyszał wszystko.

Popatrzyliśmy na siebie dziwnie, w milczeniu. Potem on zawrócił chwiejnym krokiem do willi. Długi czas stałem bez słowa na tym samym miejscu, kurczowo ściskając rączkę Adasia. Wreszcie obudził mnie z drętwoty dojmujący krzyk mewy. Otrząsałem się i spojrzawszy zdumiony na wpatrzonego we mnie chłopca, rzekłem:

— Chodźmy!

I wróciliśmy do mieszkania.

Tego wieczora nie było wspólnej kolacji. Adaś zasnął wcześniej w swym pokoiku. Ryszard usunął się samotnie na prawe skrzydło domu. Zostałem sam w przeznaczonej mi sypialni.

Wstrząśnienia dni ostatnich, zwłaszcza sprzed paru godzin, nie dały mi zasnąć. Zgasiwszy lampę, usiadłem w kącie pokoju i paliłem papierosy.

Przez otwarte okno wpadały do wnętrza zielonawe smugi księżyca, sięgając ku mnie wydłużonymi palcami. Z ogrodu wionęły zapachy kwiatów, wibracje woni subtelne, upajające — czasem podniósł się słony oddech morza.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-na-wzgorzu-roz-w-willi-nad-morzem>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Nowele*, Wyd. Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Patrycja Józwiak, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).